Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 25. Września 1881 r. **Tom XII.**



Nr. 39.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZŁOTA NITKA

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy.)

Cóż występnego, co szkodliwego zawierać się mogło w spaniu, ubieraniu się, piciu i jedzeniu do pory obiadowej? co w preferansie, *bałamucie*, sztukach z kartami i nożami, w deklamacji o pękających sercach, w sprzeczkach o żółtą i czerwoną różę, które napełniały porę poobiednią? W piciu, jedzeniu i gawędzeniu, na których schodziły wieczory? Przyjaciele dostrajali się do tonu rodziny, z którą się przyjaźnili. Nie istniała pomiędzy nimi ani jedna dusza, któraby jakimkolwiek grzechem śmiertelnym zmazaną była. Plotek nawet żadnych z sobą nie przynosili i nikomu tam nigdy potępienie kogokolwiek lub czegokolwiek do głowy nie przyszło, dla tej choćby racji, że jakiekolwiek sądy o czemkolwiek po za ścianami domu ich dziejącem się w myśli ich nie powstały.

Spokojni ci i zacni ludzie, nie wydając sami sądów żadnych o nikim i niczem, nie zdołali jednak uniknąć różnych zdań, o nich wydawanych. Dnia pewnego młody Teofil Siekierski, spotkawszy mię rzekł:

— Czy pani uważa jak u tych państwa Olińskich nic ducha nie ma?

Było to określenie dość trafne i oryginalnie wyrażone. Dla wypróbowania jednak tej sumy ducha zawierającej się w panu Teofilu, zapytałam:

— A panna Emilja?

— O pani! — zawołał — to jedyna pomiędzy niemi osoba z wyższym polotem!

— Jakto! — ponowiłam — a pani Felicja? Jest ona przecie bardzo przystojną?

— I nie tak przystojna i nie tak młoda, jak panna Emilja — odpowiedział poszukiwacz ducha i zwolennik polotów.

Inaczej nieco określił ich Adam Tarnicki, gdy raz opuszczaliśmy jednocześnie mieszkanie Olińskich.

— Patrząc na tych ludzi — rzekł — czy nie odgadujesz pani jednej z przeważnych przyczyn smutnego ekonomicznego stanu, któremu kraj nasz podlega?

— Dość mi będzie — odpowiedziałam — jeśli odgadnę ekonomiczną tajemnicę jednego tego domu. Taka nieproporcjonalność produkcji i konsumcji... nie rozumiem.

— Niestety! — westchnął p. Adam — ja zrozumiałem, wytłumaczyło mi ją jedno z najsmutniejszych zjawisk świata tego...

— Jakież mianowicie?

— Inteligencji zostającej w służbie u...

Stanął nagle i wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie. Zdawało mi się, że oczy gniewnie mu błysnęły.

— To prawda! — zawołałam — pani Felicja jest inteligencją, która...

— Nie kończ pani — przerwał prawie gwałtownie — i o przedmiocie tym nie mówmy nigdy. Bywają uczucia i myśli, których słowami dotykać nie trzeba, bo jak struny targnięte rozśpiewać się mogą. A milczeć powinny.

— Trudne milczenie — rzekłam.

— Nie bolej pani nad niem, lecz korzystaj raczej ze sposobności przypatrzenia się trudnemu życiu.

Istotnie, było to życie trudne we wszystkich sekundach, które nieustannie, jednostajnie wydzwaniał dlań stojący w rogu salonu zegar. Zrazu, gdym patrzała na nią, jak od wstania do położenia się liczyła, kupowała, uprzątała, oszczędzała, przybiegała gdy ją wołano, podawała czego żądano, grała w *bałamuta*, a czasem i w preferansa, przypatrywała się sztukom, słuchała deklamacji, uczyła i moralizowała dwóch chłopców — bezowocnie, bo robotę jej psuła cała atmosfera domu — ze zdziwieniem zapytywałam siebie, jakim sposobem istota ludzka może tak całkowicie, tak absolutnie wyrzec się własnej woli... po tem jednak, gdym z bliska ją poznała i nauczyła się odgadywać każdy ruch rysów i błysk jej oczu, myślałam nieraz, że mieszka w niej wielka wola. Kiedy byłyśmy już dobremi przyjaciółkami, powiedziała mi:

— Byłam sama na świecie i nie miałam nic i nikogo swego. Jest to rodzina moja i cała racja bytu mego na świecie.

Niekiedy drgnięcie brwi lub kurczowe zaciśnięcie ust zdradzało w niej niecierpliwe poruszenie wewnętrzne. Ale raz tylko, w jednej z chwil takich, siadając przy mnie, półgłosem rzekła:

— Gdybym wierzyła w raj, myślałabym, że tam ludzie nie jedzą, nie piją i w *bałamuta* nie grają.

— A w zamian? — żartobliwie zapytałam.

Zamyśliła się, potem prędko i z urywanym śmiechem odpowiedziała:

— Alboż ja wiem? Niechaj o raju opowiadają ci, którzy w nim kiedy byli...

Co ona miała swego i dla siebie? Czytywała nie wiele: czasem z rana pomiędzy wydawaniem obiadu a nalewaniem herbaty, czasem wieczorem, pomiędzy poobiedniemi jedzeniami i zabawami a wieczorną herbatą; najczęściej w nocy.

— Józef — opowiadała mi — nie bardzo lubi kiedy ja czytam, a nie chcę za nic ani sprzeczać się z nim, ani go martwić; na szczęście, sypia on tak twardo i głęboko, że nie słyszałby pewnie, choćbym w napadzie serdecznego śmiechu obok niego umarła.

Dnia pewnego wchodząc do domu,

wyjątkowym sposobem opróżnionego z ludności swej, usłyszałam ją grającą na fortepianie. Widząc mię wchodzącą, zawołała:

— Wszyscy poszli na nieszpory. Józef poprowadził do kościoła matkę, wuj ciotkę, p. Okimski Michalinkę, a p. Teofil Emilkę. Pani Skwierska chciała, abym ja ją poprowadziła, ale odmówiłam stanowczo i poszła solo. Gram!

Wprawę miała nie wielką, bo brakowało jej zawsze środków i czasu do jej nabycia, lecz w muzyce jej było piętno niepospolitego talentu i natchnienia. Była prawie artystką.

Adama Tarnickiego, w ciągu miesięcy paru, spotkałam u Olińskich tylko parę razy. Przychodził rzadko i na krótko, na jakąś godzinę zaledwie, a przynosił z sobą niby powiew, niby odblask światów innych, od domu tego bardzo oddalonych. Naturalnie mówił on tu zawsze o rzeczach zwykłych, prawie codziennych, ale po wiele razy już spostrzegłam, że rozmowa człowieka inteligentnego i oświeconego o deszczu i pogodzie więcej zająć i umysł orzeźwić może, niż rozprawa głupca o filozofji. Nikomu zaś tajnem nie jest, że w pewnych położeniach ludzie inteligentni i oświeceni muszą mówić o deszczu i pogodzie, a pewnego gatunku głupcy lubią bardzo rozprawiać o filozofji.

Ilekroć wchodził do salonu, Felicja stała zrazu przez sekund kilka jak przykuta do miejsca, na którem ją wejście jego znalazło. Potem przecież szła ku niemu prędko, a gdy na powitanie, ruchem serdecznym podawała mu obie ręce, oczy jej, ku twarzy jego wzniesione, jaśniały szczęściem. On także, wchodząc tu okazywał się tak wesołym, jakim go gdzieindziej nie widywałam nigdy. Trwało to przecież krótko. Goścía takiego jak p. Adam wszyscy czuli się obowiązanymi bawić i — bawili; głos Felicji w chórze rozmów dawał się słyszeć najrzadziej, najdonioślejszą za to stawała się zająkliwa mowa Choimskiego, który polityczne swe hypotezy roztaczał przed p. Adamem coraz dalej, w zapale dowodzeń, ku oknom salonu go uprowadzając.

Godzina cała upływała nieraz w sposób ten, że goścía i gospodynię domu rozdzielała cała przestrzeń salonu i ani on, ani ona nie próbowali, zdaje się, że nawet nie chcieli, zbliżyć się ku sobie. Tylko z jej twarzy szczęście, a z jego wesołość znikały. Potem, przed samem odejściem swem, rozmawiał z nią pięć albo dziesięć minut, głośno, w obec wszystkich, o jakiejś książce, o jakimś utworze muzycznym, o sprawie jakiejś, toczącej się kędyś na jasnym, bożym świecie. Do rozmowy tej obecni nie mięszali się nigdy; nie spostrzegali też, jak przez chwilę dwie pary oczu patrzały sobie w źrenice wprost i głęboko i jak przychodziło na nie nagłe obudzenie. Felicja odwracała twarz i zaczynała mówić coś prędko, i śmiać się, p. Adam brał kapelusz i odchodził. Przybywał potem znowu po długich tygodniach.

Raz zręcznym dowcipem skończywszy rozmowę z panną Emilją, która dopytywała się go, czy woli czarne lub błękitne oczy, poprosił Felicję aby zagrała. Miałam silne podejrzenie, że prośba ta wyniknęła z pragnienia porozmawiania z nią przy odgłosie muzyki, sam na sam. Nie ręczę, czy domysł ten nie przemknął także grzez głowę Felicji, bo zmięszała się i przez chwilę z krzesła nie wstawała.

Po chwili jednak wstała i spokojna z uśmiechem na ustach a płomieniem w oczach, przeszła do fortepianu. P. Józef, który na prośbę Tarnickiego kończył partję preferansa, uśmiechnął się rozkosznie i bujnego wąsa pokręcił. Pochlebiało mu to widocznie, że żona jego jest zdolną bawić grą swoją takiego mądrego goścía. Usiadła przy fortepianie i grała. On stanął blisko niej i wzrokiem ogarniał jej głowę, strojną w ogniste połyski, które światło padające z okna rozpalało w jej włosach. Grała długo i nie zamienili z sobą ani jednego słowa. Tylko, stopniowo, granie Felicji stawało się coraz powolniejszem, śpiewniejszem, słabszem, aż zerwało się całkiem. Ręce jej zsunęły się z klawiszów i prędko, z pochyloną głową wyszła z salonu. Gdy po kilku minutach wróciła, p. Adama już nie było. Mówiąc, że pilno mu dziś jeszcze na wieś wrócić, z uśmiechem i ukłonami na wszystkie strony rozdawanemi, pożegnał towarzystwo a pannę Michalinę bardzo grzecznie przeprosił, aby od niego pożegnała bratowę.

(Dokończenie nastąpi.)

Obecne naukowe stanowisko hypnotyzmu.

(Dokończenie).

Pewien Węgier, nazwiskiem Konstanty Balassa, wydał w roku 1828 książeczkę pod tyt: „Kucie koni bez przymusu“, w której znajdujemy następujące słowa:

„Wskutek nieruchomego utkwienia oczu, koń zostaje doprowadzony do tego, że odstępuje, wznosi głowę, wytęża mięśnie szyi i karku, i można mu tem tak zaimponować, że niejeden koń nie poruszy się, choć się koło niego strzela.

„Pociąganie na krzyż dłonią po czole i oczach jest także wybornym środkiem pomocniczym, który tak uspakaja i łagodzi najbojaźliwszego, albo najognistszego i najzłośliwszego konia, że gdy się go wtedy nie zaniepokoi, schyla zupełnie głowę i niejako zasypia.“

Widocznie jest to hypnotyzowanie koni.

Środek ten („balassowanie“) został prawem przepisany wojsku austrjackiemu.

Już dawniej poskramiacz koni, Amerykanin Powell podał formalny system pociągania ręką od głowy po całem ciele.

Później słynny Rarey, który swój sposób trzymał w sekrecie, działał widocznie, jak się z jego książki okazuje, tą samą metodą.

Kazał przynosić do stajni siodło, które zwracało na się uwagę konia i więziło niejako jego wzrok, a potem przystępował z boku, patrzył łagodnie koniowi w oczy, powtarzał jednostajnym tonem jedne wyrazy i głaskał po głowie i po szyi.

W naszej literaturze możnaby znaleźć wiele faktów tego rodzaju.

Widzimy więc, iż zjawiska podciągane pod nazwę hypnotyzmu, są zarówno liczne, jak i bardzo rozmaite. Ale tu bynajmniej wszystkich znanych nie dotknęliśmy. A ileż jest jeszcze zjawisk nie ogłoszonych.

Naprzykład Charcot i jego pomocnicy zauważali pewną liczbę objawów, albo zbyt skomplikowanych, albo takich, z których nie umieją sobie zdać sprawy i dlatego wstrzymują się od ich publikacji. Nadto w produkcjach magnetyzerów, jak Hansen i t. d., istnieje zapewne dość liczny repertuar zjawisk, które dotychczas nie noszą na sobie stempla stwierdzenia naukowego. Materjał tedy jest już dość obfity i ciągle się mnoży, dając nadzieję, iż z tych oderwanych faktów powstanie nauka, która wyjaśni nam wiele ciekawych kwestyj fizjologicznych i patologicznych i może wskazać jakieś metody leczenia, przynajmniej niektórych chorób nerwowych. Dziś jednak całą tę część teoretyczną i stosowalną uważać należy za zupełnie ciemną.

Jednakże czyż podobna skończyć artykuł niniejszy nie podawszy czytelnikom tłumaczenia tych zjawisk? Chętniebyśmy się wstrzymali od wszelkich teoretycznych poglądów, ale czujemy, że w artykule popularnym jest to niemożliwe. Wielu czytelników puściłoby wodze swej fantazji i doszłoby do najdzikszych rezultatów.

Musimy ich przedewszystkiem uprzedzić, że obecnie niepodobna wymagać od nauki dostatecznego tłumaczenia, albowiem kwestja zjawisk hypnotycznych jest dotąd za młodą i składa się dopiero ze stosunkowo nielicznych oderwanych obserwacyj. Z drugiej strony zjawiska te zahaczają o kwestję fizjologiczno-psychiczną, o kwestję czucia, świadomości i woli, która pomimo to, że odnośne zjawiska są przedmiotem rozmyślań, od pierwszych zaczątków cywilizacji jest w gruncie rzeczy wcale niewyjaśnioną. Dla tych powodów przy teraźniejszym stanie rzeczy wszelkie natężenia umysłu doprowadzić mogą jedynie tylko do znużenia i zniechęcenia, lecz nie do zdobycia prawdy.

Możliwem jest tylko rzucenie w te ciemnię kilku promyków, od których nie należy spodziewać się ani uporządkowania chaosu zagadek, ani rozpędzenia tumanów mgły, w którą są obwinięte. Przy nadzwyczaj skromnych środkach, jakie daje w tym względzie obecna nauka, dość będzie, jeśli te nikłe światełka pozwolą nam po wierzchu obejrzeć kłęby tajemnic i dojść do jakiegoś ogólnego poglądu na ich naturę. Mówiąc jaśniej, możemy tylko w tem miejscu wykazać czytelnikowi, iż nie powinien w zjawiskach tych szukać czegoś nadnaturalnego, pragniemy przykładem rzeczy znanych wprowadzić myśl jego na takie tory, aby pojął, że chociaż nauka nie zapanowała jeszcze nad materjałem powyżej podanym, jednakże nie należy sądzić, aby było w nim coś nadnaturalnego, aby zrozumiał, że magnetyzer działa jedynie tylko za pomocą sił, których sam nie zna, nie będąc bynajmniej ani półbożkiem, ani wysłańcem piekielnym. *)

*) Czytelnikom, którzy nie chcą przestać na rozumowaniu, przytoczę fakt następujący: Pewnego znanego mi od dawna młodzieńca, którego p. Donato uznał za «czułego», uprosiłem, aby pozwolił mi dokonać na sobie doświadczeń. Piersza próba szła z początku słabo; w pół godziny potem zdołałem już ubezwładnić ramię medium. Ale dr. J., który wraz ze mną czynił te doświadczenia, a miał już za sobą pewną na tem polu praktykę, zdołał powtórzyć na medium wszystkie te eksperymenta, które p. Donato wyprawia. Ste-

Tory, które na tę drogę naukowego myślenia zaprowadzić mają, mieszczą się w faktach następujących, równie dziwnych i równie niewyjaśnionych jak zjawisko hypnotyzmu, a pomimo to przez nikogo nieuważanych za nadprzyrodzone.

Jeśli silnie skierujemy uwagę na pewien przedmiot, uczuwamy najlżejsze wrażenie, pochodzące od tego przedmiotu, a jesteśmy niemal znieczuleni na cały świat otaczający. Archimedes, zajęty badaniami geometrycznemi, rzekł do nieprzyjacielskiego żołnierza, który nań napadł z mieczem obnażonym: „Nie zacieraj mi moich figur.“ Jakiś uczony nowożytny, gdy mu doniesiono, iż dom się pali, zamiast ratować swą własność albo uciekać, odesłał zwiastuna tej nieprzyjemnej wieści do swojej żony, a sam się nie ruszył od pracy. Matka, śpiąc twardo po nocy bezsennej, może nie usłyszeć huhu armat, ale rozbudzi ją ciche kwilenie dziecka.

Któż zaprzeczy analogji niektórych faktów hypnotyzmu, powstającego, jak wiemy, z silnego skoncentrowania uwagi na pewien przedmiot.

Dalej wiemy, iż przedmiot czy zjawisko, które całą naszą uwagę pochłonęło, wprowadza nas w stan bardzo nienormalny. Znaną jest rzeczą, iż wielka pożoga miasta do tego stopnia „zamagnetyzuje“ najrozumniejszych i najdzielniejszych mieszkańców, iż stoją jak wryci pochłonięci widokiem ognia i nie ratują swego mienia, choć dużo im na to pozostaje czasu. Później dziwią się swojej apatji i „oczarowaniu“, nie mogąc pojąć, co się z nimi stało. Wiadomo też, iż najrozważniejsi ludzie „tracą głowę“ podczas pożaru i wynoszą np. słomianki lub butelki od piwa, nie czując wcale potrzeby ratowania przedmiotów drogocennych.

Panika na wojnie należy do zjawisk tego samego rodzaju, uciekają nawet ci, co się bynajmniej śmierci nie boją i dokonywają przytem czynności zupełnie niezgodnych z celem.

Przytem w uciekających rozwija się nadzwyczajna siła i zręczność. Rozwalają przeszkody, któreby się oparły ich mięśniom w stanie normalnym. Podczas ostatniej wojny, żołnierze uciekający wdrapali się na skałę tak gładką i prostopadłą, iż żaden z gimnastyków nie mógłby się wedrzeć na nią; gdy potem, wróciwszy do przytomności po przejściu niebezpieczeństwa, usiłowali dokonać tego przy zdrowych zmysłach, okazało się, iż to jest niemożliwem. Nie dziwilibyśmy się, gdyby wielu prostaków sądziło, iż pędzeni czarami dokonali tego cudu zręczności.

---

tanizował mu nietylko ramię ale całe ciało, zmuszał do powtarzania wyrazów i tonów, wzbudzał objawy zimna i gorąca itd. Nadto, na propozycję moją wykonał eksperymenta takie, których u p. Donato nie widzieliśmy, a które zrobili uczeni niemieccy. Mianowicie wyprostował siedzącemu nogi, stężał je i siadał na nich. Pomimo moich usiłowań, medium przechylało się z krzesła, ale nogi nie zginały się w kolanach. Druga ciekawsza próba była z naśladowaniem pisma. Dr. J. i medium usiedli przy stoliku i mieli w palcach ołówki oparte na papierze. Dr. J. kreślił litery i figury, a medium mając wzrok utkwiony w jego oczy, a więc nie patrząc wcale ani na ruchy ołówka p. J., ani na swego, ani wreszcie na swój papier, kreśliło znaki jeśli nie identyczne, to bardzo zbliżone. Na zapytanie medium objaśniło, że ruchy ramienia dra J. pobudzały go do kreślenia tych znaków. Nie podejmuję się tego wytłómaczyć; to tylko jest pewnem, że medium swych oczów ani na chwilę nie odrywało. Ponieważ ani dr. J., ani niżej podpisani nie przypisują sobie żadnych szczególnych sił, ponieważ zresztą tysiące ludzi mogą też same eksperymenta powtórzyć, więc czytelnik zrozumie, jak nierozsądnem jest przypisywanie »nieziemskiej mocy« magnetyzerom.

Do tej sfery zdaje się także należeć fakt następujący. Jeśli założymy się z kim o znaczną sumę, iż po zażyciu tabaki nie kichnie, to z pewnością nie pojawi się u niego ten odruch charakterystyczny, właśnie dlatego, że będzie usiłował go wywołać, choć bez zakładu, t. j bez wywołania koncentrancji uwagi i woli na to zjawisko, wystąpiłoby ono jako odruch niezależny od woli. Być może, iż hypnotyzacja wpływa w podobny sposób zwróceniem uwagi i woli na pewne, niewyjaśnione jeszcze elementa automatyczne w człowieku.

Takich przypadków. gdzie inteligencja jest przytłumioną we wszystkich kierunkach i działa tylko w jednym, gdzie jednocześnie wola jest jakby sparaliżowana, gdzie rozwija się jakaś nadzwyczajna delikatność czucia lub potężna siła, możnaby bardzo wiele przytoczyć.

Do objaśnienia zjawiska nadzwyczaj podbudzonej wrażliwości odruchowej człowieka hypnotyzowanego, która to wrażliwość tłumaczy wiele innych zjawisk szczegółowych, jak np. naśladowanie ruchów magnetyzera itd., uczeni a pomiędzy nimi Heidenhain, zwracają bardzo racjonalnie uwagę na to, iż hypnotyzm może silniej lub słabiej paraliżować istniejące w mózgu organa, hamujące odruchy i tym sposobem puszcza wodze aparatowi ruchowemu, który korzystając z wolności, ulega najmniejszym podnietom. Jestto przypuszczenie, jakieśmy powiedzieli, bardzo racjonalne i prawdopodobnie da punkt wyjścia do badań, które naukę do pomyślnych rezultatów doprowadzą.

Widzimy więc, iż pomimo ciemności kwestji istnieją już pewne punkta oparcia, których się chwycić może ścisłe naukowe badanie i które wykazuje, iż pomiędzy zjawiskami hypnotycznemi, a oddawna znanemi, istnieje związek nieprzerwany. Jeżeli zaś nauka nie może jeszcze postawić dostatecznej teorji magnetyzmu, to okoliczność ta tylko w ciemnych umysłach może wzbudzić ideę, iż zjawiska pod tę nazwę podciągane, wychodzą po za sferę fizycznych. Nauka również nie może powiedzieć, co to jest silne skierowanie uwagi, nie wie, jakim sposobem wrażenia wzroku przechodzą do świadomości, nie wytłumaczy dlaczego mięsień się kurczy; co więcej, niepodobna objaśnić z dostateczną ścisłością sposobu działania telefonu, a jednak nikt nie przypuści, aby te zjawiska odbywały się na drodze wykraczającej po za świat objawów przyrodzonych.

Jak astrologja zamieniła się na astronomję, alchemja na chemję, tak też i „magnetyzm zwierzęcy“ przejdzie do fizjologji i stanie się jej częścią nierozłączną, a magnetyzer nie większy podziw będzie wzbudzał w umysłach publiki, od tego, który daje pacjentowi opium lub działa nań elektrycznością.

Bronisław Reichman.

Z SANDOMIERZA DO OPATOWA

(Zdarzenie prawdziwe.)

Na rynku Sandomierza, przed pocztą, uwija się służba znosząc tłomoki do dyliżansu, mającego odejść do Radomia i Warszawy. Tłum pachołków, faktorów, snuje się dokoła, — śród nieodstępnej w podobnych okolicznościach gawiedzi, która otoczywszy powóz, zagląda w oczy a przy sposobności i do kieszeni pasażerom. — Nawoływania, śmiechy, wymyślania krzyżują się w powietrzu. Usiadłszy pod ścianą pocztowej expedycji, w oczekiwaniu hasła odjazdu, obserwuję tę ruchomą mozaikę ludzi, krzątających się tu i ówdzie. Gdy nareszcie raz jeszcze, reasumując wrażenia, zebrane śród kościołów i ruin tego starożytnego grodu, żegnam wzrokiem, piękną i szczęśliwie dochowaną budowę Kazimierzowego ratusza, co z pośród nowoczesnych budowli, tak dumnie na swe sąsiedztwo spogląda, zajechał powozik elegancki, zaprzężony w lejc czwórką gniadych koni; wysiadły zeń pośpiesznie dwie panie, a za niemi piastunka, z dwojgiem małych dzieci. Obie młode, i jak się na pierwszy rzut oka zdało, przystojne. Czyżby to miały być towarzyszki mojej podróży? pomyślałem, zadowolniony prawdopodobieństwem przypuszczenia. Ułożenie bowiem i toaleta dystyngowane, zapowiadały mi na drogę sąsiedztwo zajmujące. Gdy wszakże, jedna z nich tylko miała być moją towarzyszką, więc na dane hasło trąbki pocztyliona, uścisnęły się, pożegnały, i ta właśnie, która była z dziećmi, wsiadła do dyliżansu.

Już to przyznać potrzeba, że wszędzie i zawsze, gdybyś niewiedzieć tam jakich był zasad, zjawienie się młodej, pięknej, a do tego jeszcze dystyngowanej kobiety, robi miłe wrażenie; cóż dopiero, gdy ta ma być towarzyszką podróży, i przez czas pewien, dzielić poniekąd twe losy. Pomimo woli, budzi się w tobie pasmo obrazów, w których łaskawa wyobraźnia, nie szczędzi ci sposobności, pozowania jeźli już nie na bohatera, to przynajmniej na protektora pięknej nieznajomej; a jeśliś czytał jeszcze kiedy, Soulié'go „Memoires du diable“ i należysz do rozbitków romantycznej szkoły, to już prawie niepodobna, pomimo całej surowości twoich zasad, aby ci nie przemknął przed oczyma cały rój pokus, czy tam one będą platonicznej czy innej natury. Tym razem jednak, towarzyszka moja była dobrze strzeżoną; miała bowiem w sobie i przy sobie, najsilniejszą tarczę, jaką mieć może kobieta, była matką, i miała dwóch aniołów stróżów: dwoje dzieci. Przy wsiadaniu, zrobiłem jej jakąś małą przysługę, za co mi wdzięcznym podziękowała ukłonem.

Zmiarkowawszy wszakże, że jazda z dziećmi w zamkniętej karecie, z których się jedno nie mogło jakoś w płaczu uspokoić, niezbyt byłaby przyjemną, i zepsułaby miłe wrażenie, a przytem chcąc się rozpatrzyć w okolicy, którą po raz pierwszy przebywać miałem, zaproponowałem jednemu z pasażerów, a był nim młodzieniec dwudziestoletni, czyby nie zamienił ze mną miejsca, które zająć miał w kabryolecie obok konduktora. Zgodził się chętnie, nie wiem, czy dla nadciągającej chmury, która deszcz zapowiadała, czy dla pięknych oczu nieznajomej: dość, że oba zadowolnieni zajęliśmy miejsca: on w karecie, ja obok konduktora; i za chwilę dyliżans ruszył.

Ani zajmująca, ani pośpieszna była ta podróż. Źle utrzymana, jak prawie wszędzie w Królestwie, droga, przypominała raz po raz lichą gospodarkę naszego kraju, i pomimowoli budziła cały szereg niezwykłych myśli. Deszcz od czasu do czasu, z chłodnym wiatrem, zmuszał zawijać się w pledy i burki. Jeden tylko pocztylion, nie

*

tracąc fantazji, trąbił w najlepsze jak umiał i co umiał, jakby dla ubawienia swoich pasażerów, szarpiąc niemiłosiernie uszy, a któremu dziecko wtórowało płaczem. Duet to był wcale niepowabny.

Tak, z małemi przestankami, deszczu, płaczu, świstu wiatru i dźwięków ochrypłej trąbki, dojechaliśmy do Opatowa; i gdyśmy go ze wzgórza ujrzeli, słońce zachodzące wychyliwszy się z za chmury, ozłociło wieżę kolegiaty, sławnej grobami Szydłowieckich, i piękny letni wieczór zstąpił na ziemię.

Dyliżans zatrzymał się przed pocztą. Znużeni podróżni, pospieszyli wysiąść, jedni, aby zostać w Opatowie, drudzy, by wyprostować członki, kilkomilową podróżą skrępowane. Jam się udał na pocztę, dla zamówienia koni o mil parę, do Grom..., gdzie miałem odwiedzić dawnego towarzysza miłych włoskich wycieczek, p. Rud.....

Tymczasem, już się zmierzchało. Załatwiwszy się co do koni, wyszedłem przed pocztę na rynek, aby rzucić okiem, na tę małą, pamiętną z 1863 r. mieścinę. Spostrzegłszy naszą nieznajomę, zbliżyłem się do niej, bo zdało mi się, że wspólnie przebyta droga, i kilka słów zamienionych przy wsiadaniu, uprawniało mię do zawiązania z nią rozmowy. Zacząłem więc od komunału:

—Jakże pani tę drogę przebyłaś, czy się jej nie uprzykrzyła?

Zanim mi odpowiedziała, odrzuciła woalkę, i siadając na przyźbie pocztowego domu, do czego mię też giestem zachęciła, tak mi odpowiedziała:

— Przykrą byłaby ta droga niezawodnie dla mnie, bo i utrudzająca i nudna, i maleństwo moje utulić się w płaczu nie chciało, gdyby nie pocieszała mię myśl, że ją przebywam z kimś razem, czyje imię tak jest drogiem dla serca każdego Polaka.

Gdy to mówiła, oczy jej zabłysły takim ogniem zapału, tak była zajmującą i piękną tem prawdziwem uniesieniem, żem doznał niewymownej rozkoszy, patrząc w to czyste oblicze, tej prawdziwie polskiej niewiasty.

— A któż to proszę pani jechał z nami — odrzekłem zdziwiony, licząc w myśli wszystkich, którzy byli w dyliżansie — kto pani tak uprzyjemnił tę podróż? jeśli wolno zapytać?

— A któż mógł być inny — odpowiedziała w tym samym tonie — jeśli nie nasz mistrz ukochany, któremu Polska tyle swej sławy zawdzięcza, którego dzieła opowiadają nawet obcym, czem byliśmy, czem być możemy...

Zdziwienie moje rosło. Na takie powiedzenie, jak to mówią „obstupui“; bo ani mój towarzysz, który obok mnie siedział, jakkolwiek człowiek wykształcony, ani ów młodzian, co się zamienił ze mną na miejsce, nie zdali mi się być podobni wcale do tego, o kim z takiem uniesieniem mówiła mi ta pani. Zostałem więc tylko ja. Zaintrygowany i zagadnięty w tak uroczysty sposób, widząc że to już nie mistyfikacja, ale rzecz na serjo, powtórzyłem tym razem, z naciskiem pytanie:

— O kimże to pani mówi, któż tu z nami przybył więcej, prócz tych, com przy wsiadaniu widział, i co wyszli przed chwilą z dyliżansu?

— Ależ o kim mogę mówić, jeśli właśnie nie o panu, jeśli nie o naszym ukochanym panu Janie Matejce!

Wyobrazi tu sobie czytelni łatwiej, niż to opisać zdołam, położenie moje w obec tej pani... Próżne były usiłowania wyprowadzenia jej z błędu; bo ani karta pocztowa, wydana na moje imię, ani nawet paszport mój lwowski, ani najsolenniejsze zapewnienia, że nie jestem tym, za kogo mię wzięła, i że się myli, nie zdołały jej przekonać. Owszem, im bardziej usiłowałem przedstawić jej całą prawdę, tem bardziej trwała przy swojem.

— Szanuję powody, które zmuszają pana, do zachowania *incognito,* po za granicą Galicji, lecz o tyle przecież czuję się być dobrą Polką, że nie mogę nie znać rysów fizjognomji i postaci pańskiej; mam przecież jego portret u siebie. O, bo my Koroniarze, nie mniej umiemy cenić zaszczyt, jaki nam pan czynisz swemi utworami, jak i inne dzielnice naszego kraju! I proszę wierzyć, że co do mnie, podróż ta pamiętna będzie mi na całe życie! Dziś jeszcze w sandomierskiej katedrze, spostrzegłam i poznałam pana, gdyś towarzyszącemu sobie księdzu objaśniał znaczenie jakiegoś starożytnego obrazu. I możesz sobie wyobrazić, jakiem się ucieszyła, znalazłszy się w jednym z nim powozie, przez ciąg tych kilku godzin podróży.

Nie było więc rady. Scena ta wszakże tak oryginalna, i pomimo zabawnej swej strony, poważna prawdą i podniosłością swej natury, dała mi zrozumieć czem są hołdy zasłużone, i do jakiej potęgi podnieść je mogą pewne w danym razie okoliczności. Niechże więc ten, komu się one należą, a którego na chwilę byłem tak niespodzianie i niechcący przedstawicielem i sobowtórem, dołoży i ten jeszcze jeden listek wawrzynu, do zasłużonego wieńca, jaki mu naród złożył, listek podany rączką prawdziwie pięknej duszą i ciałem kobiety.

Gdy domawiała słów ostatnich, pocztylion dał znak odjazdu. Odprowadziłem ją do powozu, opowiadając o ostatniem dziele uwielbianego Matejki, o jego pracowni, którą mi łaskawie zawsze otwiera, i o wielu rzeczach tyczących się prac jego. Słuchała w skupieniu ducha, i gdym ją żegnał, dziękowała mi serdecznie, powtarzając, że nikt ją o tem wszystkiem, tak dobrze poinformować nie mógł, jak sam mistrz i autor, któremu właśnie w tej chwili ten zaszczyt zawdzięcza. Wtem dano znak, zamknięto drzwiczki, ruszyły konie, rozstaliśmy się; i oto jedna istota na ziemi odjechała szczęśliwa, i dziwnem losu zrządzeniem, mnie to, w sposób najbardziej niespodziany i niewinny, danem było być sprawcą jej szczęścia! „O, nie zginęła ojczyzna, gdy jej niewiasty tak czują“ i t. d.

Ale nic trwałego na tym świecie, a prawda przedewszystkiem, prędzej czy później, wszystko na swem miejscu postawić winna. Więc gdy po latach kilku, dójdzie ją przypadkiem ta moja ramota, niechże budząc ją z ułud, nie pozbawia całkowicie jednego z miłych wspomnień jej życia. Bo jeżeli zaszła pomyłka co do osoby, pozostała prawda co do idei, której podstawą miłość wszystkiego co piękne i wzniosłe, a dewizą: cześć dla tych, co tym hasłom wiernie służą. Wiary tej i miłości złożyła dowód, a więc cześć jej, a w jej osobie cześć naszym niewiastom, co czuć umieją wszędzie i zawsze, wszystko co piękne i wzniosłe!

Gdym wszedł do restauracji, gdziem sobie zamówił herbatę, znalazłem salę, gdzie mi przygotowano stolik, zapełnioną publicznością, która już miała czas dowiedzieć się, jakiego gościa ma w swoich murach. Przy wejściu uroczyste przyjęło mię milczenie; czułem wzrok wszystkich utkwiony na sobie. Gospodyni wystrojona na prędce, sama mi przyniosła herbatę, i sama koło mnie troskliwie się krzątała, jakby czując się dumną, że miała prawo być najbliżej wielkiego ołtarza. Doprawdy, gdyby nie wzgląd na pobudki, zabawnie by to wszystko wyglądało, i trzeba było całej usilności, aby zachować przybraną obojętność, w obec tej demonstracyjnej sceny, w której mieszkańce Opatowa, chwycili w lot nadarzoną sposobność oglądania wielkiego człowieka, śród małego miasteczka.

Nie koniec wszakże na tem. Nazajutrz, gdym przy śniadaniu w Grom... śród koła przyjaciół, opowiadał o zdarzonej mi przygodzie, i gdy się gubiono w domysłach, kto była owa nieznajoma, dano znać, że przybył z Opatowa jakiś młodzieniec z listem do pani domu. List ten zawierał co następuje:

„Pani!

„Ponieważ wiadomo nam, że cieszycie się Państwo posiadaniem w swym domu znakomitego gościa, p. Matejki, ośmielam się przeto, zanieść do Pani prośbę, abyś raczyła z właściwą sobie gotowością niesienia pomocy biednym, zaszczycić swą protekcją oddawcę tego listu, polecając go swemu gościowi, jako młodzieńca niepospolitych zdolności do rysunku. Jako dyrektor szkoły sztuk pięknych, jeśliby chciał tylko, mógłby mu los zapewnić. Przyczyń się Pani za biednym chłopcem, a może Ci kiedyś kraj wdzięcznym za to będzie.

„Proszę przyjąć wyrazy poważania i t. d.“

Zaproszony do salonu artysta *w pączku*, przedstawił nieproszony swoje rysunki przyjmując z niedowierzaniem zapewnienia, że p. Matejki nie ma w Grom... wcale. Widocznie posądzał, że go mistyfikują; pilnie mu jednak było usłyszeć słowa zachęty i pochwały. Niestety, po obejrzeniu tych rysunków, jeźlim nie szczędził pierwszej, drugiej dać nie mogłem. Udzieliłem mu wszakże rad, co i jak ma na przyszłość robić, aby z czasem mógł być przyjętym do szkoły sztuk pięknych. Niezadowoliło to widocznie młodzieńca, który zapewne syt już pochwał miejscowych, czegoś się więcej spodziewał. Odjechał więc niezadowolniony, unosząc, jak to sam oświadczył później, przekonanie, że go p. Matejko nie dość łaskawie przyjął.

I rzecz dziwna; taka to już jest siła pierwszego wrażenia, że nawet list pani R..., który w odpowiedzi, rzecz całą, kim byłem, kategorycznie opowiedział, nie przekonał nikogo, i nie zachwiał wiary, że w 1876 roku, Matejko był incognito w Opatowie.

Takie to bywają niekiedy motywy tradycji...

Edward Pawłowicz.

WIERSZ TOMASZA ZANA.*)

Do Adama Suzina, w dzień Adama i Ewy, 1835 roku, 24. grudnia. Orenburg.

I.

Adamie! dźwiękom harfy dobrańszym zwykniony,
Ojczyste i ludzkości grającej pamiątki,

*) Wiersz ten, pisany w Orenburgskiem więzieniu pod kontrolą moskiewską, nie mógł być zupełnie jasny — podajemy go jako drogą pamiątkę po takim jak Zan człowieku. (P. R.)

Skłoń ucha na chrypliwy brzęk upornej stróny,
Chwalebnemi cnych imion podrażnionej świątki.
Na Litwie kwitnień naszych wschodziły zacząłki,
U Tatar dojrzeć mają wspólnych cierpień plony!
Bóg wie gdzie, jakie, komu zbiorą się użątki?
Wymłot czyje uraczy wesela lub zgony?
Grób nasz, te-li uzacnią, co kolebkę strony?
Krople z głębin wrócą-li w górne swe początki?

II.

Lecz to czuję z chaosu jak wstaje świat nowy,
Wolą i słowem jasność wybiegła z ciemnoty,
Ziemię piejącą życiem duch popchnął wirowy,
Wśród gwiazdy pod niebiesnych utwierdzeń nawroty.
Twórca spoczął na siódmych chwałach swej roboty:
Tchnął duszę twórczą w miększą formę i narowy.
Raj umila moc Boga i Ewy pięknoty,
Adam kocha ofiarę wężowej namowy:
Ssie moc słodszą owocu z ustek białogłowy,
Poznawszy zło i dobro ujrzał swe nagoty.

III.

Smutnie się k'tobie zwraca i serce i oko,
Koronna Litwo, raju naszego kraino!
Ogrodził cię archanioł mieczem i opoką
I wspomnienia o tobie ze łzami wypłyną.
Trudy, męczarnie, grozy człowieka obwiną,
Nim oludni, uprawi pustynię szeroką,
W pożarach i potopie prócz Noego zginą
Syny i pola zlane Ablową posoką;
Aż święty duch i słowo ciałem się obloką....
Wschodź jutrzenko, przeczysta Rodzicą-dziewczyno!

IV.

Po głębokich wstrząśnieniach wraz boska przyroda
Nowe objawia cuda, nową postać wdziewa,
Ziemię z niebami łączy nowa tęcza zgoda,
Na nowo ludzkość wierzy, kocha, się spodziewa,
Z dojrzałego jej serca martwa zlata plewa,
Doskonalsza duchowi jej wzrasta swoboda,
W piękniejszą jedność cząstki niezgasłe ulewa,
Szczęśliwsza liche pory rozkwieca pogoda,
Aż je Trójcy, przyszłości nieśmiertelnej poda,
Której świat wiekuiście chórem życie śpiewa.

V.

Ziały się w melodyą serc Lechickich brzmienia
I zagrzmiał głos Adama harmonijny, święty,
Wzbudzić pamiątki raju, Jehowy rzeczenia:
Oblały grzeszną ziemię potopowe męty,
Jako wznoszone w górę wichrami okręty,
Steruje Noe, chroni zalążki plemienia,
Z którego w czystem łonie człeko — Bóg poczęty
Miłością i krwią ludom otworzy zbawienia,
Pierwszy człowiek zdał sławę dla twego imienia,
Pierwszy między poety polskie i książęty.

VI.

Jakaż z naszego życia odbłyśnie nam sława
Płodnem czuciem, pomysłem, rękodziełem, rymem?
Wzbroniona zła i dobra ugryzła się strawa;
Kto nie Adam, musi być Ablem lub Kainem!
Lub ufny mocom ducha staje się olbrzymem!
Żadnego władnych strachów nie zgnębi obawa,
Góry na góry znosi; zkąd ogniem i dymem
I ramieniem sturęcznem stropu nieb dostawa,
Nim go zarzuci, zwęgli, i kamieni lawa....
Wystrzelona w wysoty ubielone zimem.

VII.

Słabszym darom skromniejsze powierzone dzieje.
Przenosić czyste w sercu obrazy i głosy,
I raju i miłości pamiątki, nadzieje,
Zacne ojczyzny myśli, czucia godność, losy
Przez otchłań lodowatą, przez ogniste stosy.
Powstań duszo z boleści i snów — zorza dnieje,
Kwiat stepowy świecące otrzeźwiają rosy,
Już radośna jutrzenka lubością się śmieje —
Na pierś stwardniałą miłe rozrzucając włosy.

VII.

I jasne oczy zwraca na kochanka lica
Oświecone miłością przejrzystą i czystą,
Rączki wyciąga, ucha nakłania dziewica,
Ustka otwarła, jego istotę ognistą
Wciąga w siebie i błyska — gwiazdą promienistą.
I kołysze aniołka niebieska rodzica,
W którym się piękność wróża złączyła z ojczystą.
I krasuje się ludów straconych ziemica
Pod jedną aurą światłą, błogą, przezroczystą.

Kronika Tygodniowa.

Hałas, tartas, klekot języków i kół dorożkarskich, jak również kół moralnych, rozlega się u nas od rana do późnej nocy tak, że przeciętny Lwowianin wyrzucony z codziennej kolei swego żywota, doznaje pewnego zawrotu głowy. Niepodobna przejść ulicą, żeby się nie potrącić czy o jaką ogorzałą i marsowato-szlachecką postać, czy też wystawcę czegoś rozpłodowego, naprzykład bydła lub innych nieprzyzwoitych istot, których nazwiska wymieniać się nie godzi. W cukierni nie można się doprosić o porcję kawy, nie można dorwać gazety, nie znaleść krzesła, lub kołka do powieszenia kapelusza, bo wszędzie przybyszów jak nabił, czy to na sejm, czy na targ między-narodowy, czy na zebranie Towarzystwa Rolniczego. Trzymając się zasad polskiej gościnności, ustępujemy wszędzie, zapraszamy, częstujemy, obsługujemy, bo szlachta tego roku ma gęstą minę, ręce z fantazją trzyma w kieszeni i na gwałt każe się w salonach fryzjerskich strzydz i golić, tak samo, jak to było w dobrych dawnych czasach giełdowych. Sklepy się przystroiły, i wyświeżyły, a co tylko błyszczących i świecących rzeczy było w szufladach, to wszystko wywędrowało za okna. Panowie kupcy humory swe podnieśli o jedną oktawę, a z hotelowemi wielkościami nie ma nawet co gadać teraz nam, zwykłym nadpełtwiańskim śmiertelnikom. Bodajto taki jarmark i uroczystość trwały choćby przez rok cały, a zaręczam, nie byłoby potrzeba ankiet do rozwijania przemysłu i handlu, nie trzebaby banków pożyczkowych, chyba takiego, któryby tylko przyjmował wkładki. Jedne księgarnie może w tym ogólnym ruchu i szczodrobliwości obywatelskiej nie biorą udziału. Przeciskając się wśród tłumów falujących po trotuarach, co spojrzę do której przed duże lustrzane szyby, to widzę jak za ladą ziewają pryncypałowie ze sztabem pomocników — bo przed ladą pustki... Mówią nam, że czytanie i kupowanie książek, jeszcze w Galicji jest luksusem, do którego aby dojść szczęśliwie, trzeba wprzód przeprowadzić tyle reform ekonomicznych i politycznych, że zapewne wnukowie nasi dopiero tych rzeczy razem z federacją się doczekają. Pod tym względem Galicja jakkolwiek bardzo religijna, stoi wprost w sprzeczności z pismem świętem, które powiada, że nie samym chlebem człowiek żyje.

Za to wśród tylu obrad, języki naszych domorosłych krytyków nie próżnują. Wszystko jest złe i wszystko cośmy tylko zrobili, co robimy i co zamyślamy zrobić — djabła warte. — Ten nieszczęśliwy gmach sejmowy odgrywa teraz rolę serwety, którą każden uznający się za coś niby porządniejszego, ma obowiązek obcierać sobie usta. Zła akustyka, przeciągi, dymy, wilgoć, rozkład do niczego, wąskie ławki, złe gzymsy, złe sztukaterje, twarde schody, brzydkie statuy — słowem, wszystko od *a* do *z* skrytykowane, zmaltretowane, obmówione z litośnem wzruszeniem ramion, z szyderczym uśmiechem i zgrozą, jak u nas nie ma ludzi, którzyby coś bądź zrobić mogli... I to wszystko dopiero ma być intrudukcja, rodzaj strojenia instrumentów przed rozpoczęciem w sejmie uwertury... Smutna to rzecz doprawdy, ta nasza niewstrzemięźliwość językowa, ta manja dyletancka, rodzaj patrjotyzmu w dobrym tonie, który każdą naszą pracę publiczną musi wprzód dobrze unurzać w błocie, aby całemu światu pokazać, że jak byliśmy, tak dotąd jesteśmy do niczego. Inne narody mają sobie za honor i obowiązek podnosić wszystko co swoje wyżej, niż się należy, u nas przeciwnie, wysilamy się na to, aby poniżyć i zohydzić każdą zasługę. Jeszcze się nie urodzi jaki bądź pomysł lub projekt, lecz o nim dochodzą głuche wieści, a już chóry żab takie rozpoczną grzechotanie, że wszystko naprzód zagłuszą. — Ta sama dola czeka kilka ważnych przedłożeń Wydziału krajowego do sejmu, które już w czambuł potępione i zmaltretowane zostały. Niańki i stróże mówią o nich jako o płodach poronionych, z różnemi warjantami intryg zakulisowych, domysłów, celów, o których z pewnością nikomu się nie śniło. Cóż więc dziwnego, że owoce sumiennych prac przygotowawczych idą potem do kosza, a kraj słusznie pyta dlaczego się nic nie robi. Dalibóg, kiedy to wszystko się słyszy i na to się patrzy, to tylko zwiększa się uwielbienie dla ludzi, którzy wśród takich okoliczności mają odwagę i chcą pracować dla dobra publicznego.

Targ zbożowy się skończył, a choć może cyfra dokonanych obrotów nie jest tak wielką, jakby na międzynarodowy targ przystało, jednak kraj odnosi tę korzyść, że kupcy zagraniczni mają sposobność poznania się bliżej z terenem i zawiązania stosunków, które w ciągu roku sprowadzą niezawodnie liczne transakcje. Zresztą nie nam występować przeciw tego rodzaju zjazdom. Lwów ani kraj w każdym razie na tem nie traci, zaś właściciele zboża przynajmniej wiedzą, jak się orjentować ze sprzedażą.

Nowy Bank Rolniczy od 1-go października ma być otwartym, a że debiut jego wypadł w bardzo przyjazną chwilę, bo podczas urodzajnego roku, zatem nie można wątpić o jego powodzeniu. Potrzeba tylko, aby starał się prowadzić rzecz fachowo i nie rwał do wielkich interesów. Gorszy strach opanowuje krótkowidzących, z powodu zamknięcia granicy od 1 go stycznia dla przywozu bydła zagranicznego. Podług nas, przeciwnie jestto jedna z najbardziej sprzyjających okoliczności do rozwinięcia hodowli bydła i wzięcia w swoje ręce rozległego handlu opasami. Nie narzekać zatem i krytykować, ale zawczasu przygotować wszelkie sprężyny manipulacji, któraby nas uczyniła panami położenia. W tym stanie, w jakim się dziś gospodarstwo rolne i przemysł znajduje w Galicji, tylko monopol lub podobny zakaz mogą dać otuchę, że pozbawieni konkurencji, potrafimy od razu zająć pozycją, od której przyszła

pomyślność kraju i rolnictwa zależy. Zaściankowe krzyki niektórych właścicieli gorzelni, są tylko dalszym ciągiem dyletantyzmu naszego, bo podług zdrowej logiki, ten zakaz Rządu, jest może jedynym dodatnim rezultatem okrzyczanego sprzyjania krajowi, z którego jeżeli nie potrafi skorzystać, to już jego będzie winą.

Na przybycie tylu upragnionych gości, teatr przeniósł się do zimowego gmachu, i zdaje się, dyrekcja nie ma powodu narzekania na pustki. Gdy to piszemy, afisze zapowiadają pierwszą operę, Hugenotów i pierwsze debiuty nowo zaangażowanych artystów na sezon zimowy, a choć wszystko znający krytycy już popuszczają cugle swym wątpliwościom, mamy nadzieję, że nowa dyrekcja potrafi zaspokoić skromne życzenia Lwowian, którzy wiedzą, że do posiadania dobrej opery jeszcze kraj nasz nie dojrzał. Zresztą powinniśmy się trzymać tej zasady co Kraków, który doskonale umie wychwalać wszystko co swoje i dobrze na tem wychodzi. Zdaleka cztery piąte wierzy temu, co Czas donosi, więc sława jego rośnie, a sława i opinja dobra, nikomu przykrości nie zrobią. Dokucza wprawdzie tej sławie „Djabeł krakowski", ale trzeba mu to przyznać, dowcipnie i słusznie a przyzwoicie, tak, że mimo swego satyrycznego nastroju, służyć może za wzór poważnej nawet krytyce. Szczególniej czytelnikom Tygodnika polecamy wyborną korespondencją Mini z Józią, to jest lwowskiej artystki z krakowską, z której można się uśmiać do woli, a zarazem mieć wyborny obrazek z zakulisowego życia jednego i drugiego teatru.

Turysta - pedagog

wspomnienie trzech wycieczek w kołomyjskie góry

podał

Marceli Turkawski.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszy więc okres życia turysty - pedagoga zamknęła wycieczka na Rokietę. Ziarno drobne tam rzucone na urodzajną glebę łatwo się przyjęło i niebawem obfite wydało plony. Dotyczy to zarówno głównych bohaterów akcji wycieczkowej, jak i „legii Czarnohorskiej," będącej biernym lub czynnym tego dramatycznego „prologu" świadkiem. Powodzenie kołomyjskiej exkursji oddziaływa zachęcająco na stolicę Bukowiny, skąd 7. lipca t. r. nadciąga do stolicy Pokucia walny zjazd czerniowieckiej braci, związanej w *Towarzystwo bratniej pomocy i Czytelnię polską*. W następstwie rodzi ten udany projekt w ciasnem kółku sekretarza i rodziny jego „diwy" ponętny pomysł zrobienia mniejszej do Pistynia wycieczki, która po skończonym kursie (15 lipca t. r.) bardzo pięknie się odbyła, choć tylko na jednym fiakrze i na jednym wozie. Że jednak obie nie wchodzą w zakres publicznych spraw, lecz czysto osobistych, notujemy wypadek końcowej pistyńskiej wyprawy, z której turysta - pedagog wyszedł oświadczonym, a po wakacyjnych tęsknotach i rozpaczach (tu zdałoby się głębokie westchnienie!) w oddaleniu 50 milowem otrzymał zaszczyt i godność narzeczonego Ewy!...

Wychodząc ze stanowiska przedmiotowego i bezstronnego, nasuwa się tu nam obawa, jako logiczny wynik nowego tytułu naszego bohatera: ażali ta godność nie stanie w rażącej sprzeczności z urzędem sekretarza i interesami „Czarnohorców," przerabiając narzeczonego, i do tego pedagoga, zamiast w ruchliwego zwolennika turystowstwa, wprost przeciwnie na ciężkiego pedanta i zaciętego apostoła, siedzenia za piecem dziewiczej chaty, gdzieby nieprzeszkodzony przez natrętnych oczy, zupełnie oddał się „Amor" czułej „Psyche." Los tymczasem pokierował za zrządzeniem zapewne niebios inaczej!

Kreślić te dzieje rozkosznych i smutnych chwil, nie podoła pióro, dzisiaj może maczane w żółci i boleści! Dość, że nastał czas przejściowy w życiu turysty - pedagoga, pełen zawikłań wewnętrznych i zewnętrznych, a zarazem wzburzenia umysłu, szukającego na oślep boju bez wytchnienia. Gdy w łonie człowieczem wre tak straszna walka uczuć z przywidzeniem czarnej przyszłości, gdzież najlepsze do uśmierzenia cierpień pole? Oto w górskiej przyrodzie! A więc w rocznicę rokieckiej wycieczki urządzajmy, Czarnohorcy, podobną, ale dalszą i lepszą!.. Nie sztuka powiedzieć urządzajmy! lecz jak i dokąd? Posłuchajmy więc z uwagą!

Najpierw godzi się zaznaczyć fakt poważny, że Zarząd Oddziału Czarnohorskiego, którego działalność według statutu fundacyjnego rozciągała się na sześć powiatów, liczyć się musiał z przeróżnemi względami i okolicznościami, gwoli którym zarząd powinien był co rok inną obierać okolicę górską Pokucia za cel wycieczki, aby tym sposobem zadowolnić swych członków, rozrzuconych po tychże okręgach. Dalej należało w początkach przynajmniej, zanim oddział wyrobi sobie pewne i ustalone stanowisko pośród tylu towarzystw na Pokuciu, odstąpić nieraz od właściwego, naukowego celu, stanowiącego jego racją bytu, a uwzględnić turystowską i przyjemnościową część, jeśli stale zechce liczyć na poparcie szerszej publiczności, zachęcać wahających się i niechętnych do przystąpienia liczniejszego do tego stowarzyszenia. Dlatego, usunąwszy na bok wszelką śmieszność, każdy bezstronny czytelnik i znający miejscowe stosunki widz, usprawiedliwi nas, iż w rozumnem uwzględnieniu tych warunków istnienia, i słabostek małomiejskich, trzymaliśmy się zasady: łączyć w takim wypadku pożyteczne z przyjemnem, a więc, że obok oglądania choćby przelotnego rodzinnych gór i zwiedzania pamiątkowych, sławnych na Pokuciu miejsc.... bawiliśmy się i tańczyliśmy. Skoro jednak nadejdzie pora spokojnej rozwagi, członkowie Towarzystwa zapragną rzetelnych wyników podobnych wycieczek, po za któremi stoi umiejętność i badania naukowe, a sam Zarząd nie będzie potrzebował schlebiać chwilowym zachciankom partykularyzmu; wówczas dopiero postara się Zarząd ściśle zorganizowanego koła turystów o wycieczkę, którąby przeważnie do sumiennych rezultatów nauki zmierzała.

Tyle na wyjaśnienie pobudek, działających na zarząd w wyborze środków, jakie bezsprzecznie utorowały drogę znakomitemu rozwojowi oddziału.

W tym duchu postanowiono na dwóch posiedzeniach Zarządu następnego roku, ogólny zarys dwudniowej wycieczki na górę Owidyusza, położoną obok Kut, a więc nieco dalej ku południowemu wschodowi, niż Rokieta. Przygotowawczemi jej krokami pokierować miał znów urządzający komitet z pięciu członków złożony, któremu Zarząd wykonanie swej uchwały poruczył. Prócz innych motywów, jak pożądanej nowości i urozmaicenia programu podróży, przeważał na naszą decyzyę i ten główny wzgląd, że w stronach Kossowa i Kut mieszkało bardzo wiele członków oddziału.

Delegowany komitet, podejmując się wykonania arcytrudnego projektu, wziął się żywo do pracy, ułożył i ogłosił powszechnie szczegółowy tej wycieczki plan, rozesłał go między swych członków i różne instytucje, byleby dużo zgłosiło się osób do współudziału. W celu zaś dokładnego spełnienia obszernego programu wycieczkowego utworzono za pośrednictwem komitetu dwa miejscowe podkomitety: w Kossowie i w Kutach. Do pierwszego zaproszono kossowskiego starostę p. Sabata, wyższego zarządcę salin p. Pechnika i aptekarza p. Bursę, któremu to ostatniemu jako delegatowi oddziału, powierzono zawiązanie podkomitetu. Do drugiego powołano: burmistrza p. Soroczyńskiego, zarządcę lasowego p. Tarnika, kapitana pensjon. p. Mellera i dwóch adjunktów sądowych pp. Mandyczewskiego i Sanockiego. Oddzielnie nadto poczyniono starania celem znalezienia stosownego przyjęcia po drodze w Pistyniu i uzyskania potrzebnych spławów na Czeremoszu.

Na pochwałę głównego komitetu (do którego oczywiście należał i sekretarz), podnosimy i to, że sam poprzednio zwiedził wszystkie miejscowości, którędy turyści mieli przejeżdżać i osobiście popierał chętne zresztą zabiegi podkomitetów, na których czele stanęli: w Kossowie p. Bursa, w Kutach p. Mandyczewski.

Jakże w obec tego gorącego działania komitetu i podkomitetów, w obec zamierzonej wycieczki na Owidyusza, zachowała się kołomyjska publiczność? Rozmaicie.... nikt, nigdzie i nigdy nie zadowolnił wszystkich; każde zdanie spotka się z *contre*-zdaniem, każdy wniosek napotka opozycją... Najwięcej zaczepiano te nieszczęśliwe dwa dni, ten zamiar nocowania w Kutach po kwaterach, zresztą *quot capita, tot sensus!!* Biedny sekretarz przeszedł nietylko jako urzędowa figura Oddziału, ale i jako prywatny człowiek, względnie, jako narzeczony turecką łaźnię, o jakiej na tym świecie nie marzył. „Tatulo" sprzeciwiał się, i z zasady, i z praktyki, tej krętaninie wycieczkowej, jako bezpotrzebnej i zdrowiu swej jedynaczki zagrażającej... Obie panie, steroryzowane dosadnie groźbą, wzięły znowu na siebie uśmierzenie woli pańskiej powolnem przedstawianiem skutków tego uporu ojcowskiego na dwa, a raczej na trzy organizmy, oraz łagodzeniem zaciętości „Cerbera" półśrodkami: to przymileniem, to oziębłością... Na szczęście znalazły one wąską, co prawda, furtkę do wyjścia, t. j. uzasadniały wciąż swe zamiary pochlebianiem głowie domu, że na urodziny wypada narzeczonemu sprawić niespodziankę przez przyłączenie się do wycieczki. Już co prawda, to prawda, sam turysta - pedagog zapomniał śród nawału kłopotów i zajęć przygotowawczych o tem, że w rocznicę wycieczki miał ongi ujrzeć światło dzienne; a jednak pamiętały o tym dniu kobiety. Tymczasem ten wybieg poskutkował o tyle, że pan ojciec dał się przebłagać i zezwolił na to pod różnemi warunkami, między któremi jeden był najważniejszy i stanowczy, że narzeczony dopiero z rana, w dniu swych urodzin, gdy przed odjazdem na Owidyusza żegnać będzie przyszłą rodzinę, usłyszy z słodkich usteczek Ewuni radośną wieść, jako niespodziankę, iż ze względu na rodową uroczystość, pragnie

uczcić rodzina narzeczonej (bez ojca) ten pamiątkowy dzień przyłączeniem się do turystów! Poczciwcy i naiwni! Oni sądzili, że przed bystrem okrem sekretarza, co prowadził spisy i rachunki, liczył wozy i powozy wycieczkowych gości, jakaś tajemnica ukryć się zdoła?

Tak więc przed czasem wyszła tajemnica na jaw, rzeczone osoby społem wyjechały wygodnym powozem ku rogatce. Szwabi znowu z wozami nie stanęli punktualnie, a jak zawsze pijani po kiermaszu, przywlekli się, aby z wielką biedą zabrać liczną gwardję turystów.

Owoż po dokonaniu wszystkich możliwych przygotowań przedwstępnych zgromadzili się w niedzielę Zielonych świąt kołomyjscy i z daleka przybyli turyści, ozdobieni zielonemi szarfami, na dawnym zbiorowym punkcie, na Wierzbiążu. Strzały moździerzowe przy dźwiękach kapeli miejskiej dały hasło wyruszenia bitą drogą rządową w kierunku południowym ku górom. Sprzyjała nam w ciągu podróży pogoda, czasami tylko rosił drobny deszczyk, chyba na to, aby powstrzymaniem kurzu sprawić nam więcej pożytku, niż zmartwienia i szkody. Na dość znacznej przestrzeni spieszyło wesołe grono turystów w znacznej liczbie (trudno dziś o bliższą datę) dawnym zwyczajem i torem (mijaliśmy bowiem znaną z zeszłorocznej exkursji okolicę) ku J. Tu wyjątkowo pozwolił sobie turysta-pedagog, powolny aż nadto woli swych pań, małej secessji na tamtejsze probostwo. Smutek już owiał ten przybytek spokoju, pokryty niedawną stratą czcigodnego ks. Ż. W ciszy więc spożywszy przekąskę i zabrawszy babunię, popędzili pozostali za swymi kolegami, którzy gwarnie uwijali się koło kościoła w Pistyniu. Przyjął ich tu tradycyjnym zwyczajem u bramy świątyni miejscowy administrator ks. Schulz, i podając chleb i sól powitał krótką, z zapałem wygłoszoną mową. Następnie udaliśmy się na zapowiedzianą programem mszę św., którą łaskawie odśpiewał katecheta-turysta ks. M, będący zarazem podskarbim oddziału. Po oddaniu należnem Bogu, co jest boskiego, wzięliśmy się do tego, co jest człowieczego.... tj. do jedzenia. Klasycznie odbyło się to śniadanie (niby pierwsze) w powozach i podwodach wspólnych, stojących na targowisku pistyńskiem. Głodna kawalerja uwijała się obok tych ruchomych bazarów gastronomicznych, chodząc od jednego do drugiego wozu, aby za pogawędkę z właścicielami i właścicielkami tych restauracyj bezpłatnych tamże coś uzyskać. Wtem nadpędził kurjer kossowski na kształtnym wózku węgierskim, o ślicznym zaprzęgu, aby oznajmić donośnym głosem, że wszędzie nas oczekują z processjami, cechami, muzykami et ceterami. Dalej więc w drogę!...

Począwszy od Jabłonowa aż do Kossowa ciągną się podłużne i poprzeczne odnóża pasma Czarnohorskiego, po których sztucznie poprowadził rząd dobrze utrzymywany gościniec. Z tych pagórków i podgórzy ciemnieją z dala długie a wysokie łańcuchy Beskidów; czuć tu powietrze, i zapach gór, nie dziw, że każdy choć z oddalenia mile witał swobodne przybytki Huculów.

Gdyśmy się zbliżyli do Kossowa, miasta obfitującego w pokłady solne, ujrzeliśmy piękną bramę z napisem: „Witamy" i liczną publiczność miejscową z podkomitetem na czele. Zsiadłszy tu z podwód przywitaliśmy szan. obywateli i uścisnęli bratnią dłoń p. Bursy, który nas poprowadził na szczyt łagodnej na uboczu drogi góry, skąd zachwycający przedstawił się turystom widok na miasto i pobliską okolicę.

Wyglądała ta mieścina Kossów jak obozowisko śród zieleni ogrodów salinarnych i sadów mieszczańskich, rzeczka zaś Rybnica, płynąca środkiem miasta, jakby wstęga jasna pośród szarych namiotów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA NAUKOWA

Sztuczna produkcja djamentu.

Zadanie krystalizacji węgla, jest jednem z tych, które najbardziej zaprzątały umysły chemików. Pomijamy liczne usiłowania, czynione po dziś dzień dla dopięcia tego celu, i przechodzimy od razu do prac najświeższych, które, jak powiadają, miały osiągnąć rezultaty poważne.

Honor najnowszych poszukiwań w tym kierunku, należy się chemikowi angielskiemu, p. J. B. Hannay w Glasgowie.

Wiadomo, że węgiel opiera się działaniu najmocniejszych nawet płynów rozpuszczających. P. Hannay więc próbował uskutecznić operację rozpuszczenia w gazie.

Ogrzewając węglowodor, pod silnem ciśnieniem, w obecności pewnych metali, wodór łączy się z metalem, węgiel zaś pozostaje wolnym. Gdy się kompozycję stałą, zawierającą azot, rozgrzaną do czerwoności, poddaje działaniu węglowodoru przy ciśnieniu wielu tysięcy atmosfer, węgiel wydziela się z węglowodoru, i przekształca się wówczas na djament jasny i przeźroczysty.

Trudność polega na zbudowaniu naczynia odbierającego, dość mocnego, ażeby wytrzymać olbrzymie ciśnienie wielu tysięcy atmosfer i temperaturę potrzebną do osiągnięcia pożądanego rezultatu. P. I. B. Hannay używał rur, zbudowanych jak lufy karabinów z kutego żelaza, mających pół cala średnicy wewnętrznej, a cztery cale średnicy zewnętrznej. Tylko że rury te, pękały dziewięć razy na dziesięć.

Węgiel, otrzymany podczas tych różnych doświadczeń jest tak twardy jak djament naturalny. Kraje wszystkie kryształy, i nie pochłania światła.

Kryształy tych djamentów sztucznych, mają powierzchnie krzywe, ośmioboczne. Palą się łatwo i bez osadu, jeżeli się je umieści na cienkim arkuszu platyny, po nad samym płomieniem rurki. Po dwóch dniach zanurzenia w kwasie fluowodornym, nie okazały najmniejszego śladu rozpuszczenia, nawet podczas wrzenia tego kwasu. Gdy się ogrzewa ułamek takiego kryształu w płomieniu stosu wolty, staje się on czarnym, jak to bywa u djamentów naturalnych. Również palono ten djament sztuczny posługując się metodą używaną przy analizach organicznych. Kryształy tego djamentu, umieszczone na arkuszu platyny, rozgrzewano za pomocą prądu elektrycznego, w prądzie tlenu i palono tym prądem.

Djament użyty ważył 14 miligramów tylko. Zawierał on, po tej analizie, 97,85 na sto węgla.

Handlarze djamentów, nie są jeszcze dotychczas tym odkryciem mocno zaniepokojeni, albowiem proces otrzymywania sztucznych djamentów jest kosztowny i niebezpieczny; nadto ilość otrzymanego djamentu jest tak małą, że można przywiązywać do niej znaczenie jedynie czysto naukowe. Należy dodać, że p. Hannay nie dał poznać natury kompozycji azotowej, jakiej używa.

Inny chemik angielski, który od dłuższego czasu zajmuje się sztuczną produkcją djamentu, p. James Mactear, miał również, jak mówią, osiągnąć cel pożądany. P. Mactear zapewnia, że nie ma wielkiej trudności w otrzymaniu węgla skrystalizowanego, używając do tego jakiejkolwiek kompozycji węglowej i „modyfikując jedynie proces ogólny, oparty na wielkiem prawie fizycznem."

Profesor Maskelin, w liście do „Timesa", podał w wątpliwość rzeczywistość faktu głoszonego przez p. Mactear. Po dokładnem zbadaniu, jakiemu ten sławny chemik poddał próbki przysłane mu przez p. Mactear, ten rzekomy djament ma być jedynie skrystalizowaną krzemionką.

Tymczasem p. Crookes zdaje się wierzyć w rzeczywistość tego odkrycia. Badał on promieniowanie wytworów p. James Mactear, w próżni niemal zupełnej, pod wpływem baterji elektrycznej i bez wydania stanowczego wniosku powiada: „Gdybym nie znał pochodzenia tych próbek, nie wahałbym się uznać je za djamenty pewnego gatunku, znane pod nazwą *boart*, przychodzące do nas z Brazylji.

M. B.

Z WYSTAWY DZIEŁ SZTUKI.

(Ciąg dalszy.)

Wojciech Gerson przysłał kilka prac nowych, najcenniejsza z nich: *Zamordowanie Przemysława przez margrabiów brandeburskich.* Tytuł mówi wszystko. Obraz przedstawia wydarzenie dziejowe, a więc sięga w dziedzinę malarstwa historycznego, chociaż, co prawda, zbyt to scena cicha, małomówiąca. W kompozycji historycznej szukamy zazwyczaj motywów głębszych, donioślejszych, a scenerja powinna zakres obejmować szerszy. Rzecz dzieje się w komnacie Przemysława; brzask dnia przedziera się przez odsłonięcie kotary u okna i rzuca smugę światła na kosztowną makatę przypiętą nad łożem. Przemysław śpi twardo. Głowa nieco zsunięta, pierś odkryta, spokojna, nie przeczuwa wcale, że w nią w tej chwili mierzy ostrem żelazem zbójca. Rudobrody Brandeburczyk patrzy na swą ofiarę i zatrzymał się chwilę. Cóż to, czy waha się, czy poi wzrok widokiem ofiary? Oto, co w kompozycji jest niejasnem. Taka cisza długa nie robi efektu zamordowania. Artysta może ze względów estetycznych nie chciał broczyć obrazu krwią, lecz jeśli miał zamiar inny, to nie uwydatnił go należycie. Nie wiemy na pewne czy to jest wahanie, czy obawa, bo z pewnością pomimo całej brzydoty zabójcy, twarz jego nie ma wyrazu dzikiego pastwienia się, na co wreszcie dla charakterystyki dziejowej łatwoby się zgodzić. Artysta tego skrajnego wyrazu widocznie unikał, co tem łatwiejsze do zrozumienia, że wiadomo, jak ściśle przestrzega warunków piękna, jak starannie usuwa każdy cień nawet dzikości. I tym razem to się uwidocznia i idzie w parze z doskonałem artystycznem wykończeniem. Rysunek Gersona skończenie piękny; ta głowa i pierś Przemysława, to ramię zwieszone, albo cała postać zabójcy,

takie są wypracowane, że im się dość napatrzeć nie można. A dodajmy jeszcze bardzo doborowy koloryt i oświetlenie, którego artyście każdy mógłby pozazdrościć; to i nic dziwnego, że obraz jego przykuwa uwagę widza do siebie i tem piękniejszym się przedstawia, im dłużej mu się przypatrujemy. *Zamordowanie Przemysława* najdowodniej wykazuje, czem w dziele sztuki jest wykonanie i wykończenie. Tu widzimy, jak wiele ono na szali wartości artystycznej waży i że żadną miarą nie powinno być zaniedbane — a co, niestety, w pracach wielu młodszych malarzy za często się powtarza.

Drugim obrazem jest *Cisza nocna*. Obraz fantastyczny przedstawia na czarnem prawie tle nocnego nieba unoszącą się kobietę, owianą lekką mgłą zasłony. Ale zasłona ta, tak jest przejrzysta, że kształty skończenie piękne rysują się z niezmiernym powabem i dają poznać prawdziwe mistrzostwo Gersona w rysunku. Linje jakby zachwycone z rzeźb greckich, celują obok anatomicznej doskonałości jakimś nieokreślonym wdziękiem, takim spokojem, miękkością i harmonją, że istotnie dzieło może być nazwane ciszą nocną. Nie mielibyśmy dość słów na pochwały rysunku Gersona, tu dodamy tylko, że jest on dla każdego artysty doskonałym wzorem, a radzibyśmy zapatrywania się na niego widzieć jak najwięcej. I tu z zaletą rysunku wiąże się druga nie mniej ważna: oświetlenie. Księżyc, którego nie widzimy, rzuca z boku smugę światła niebieskawego i ślizgając się o kontury uwydatnia je, a zarazem wywołuje zaokrąglanie się kształtów i wyborne modelowanie się. Oświetlenie, które tak wielką jest zaletą pędzla Gersona, odznacza także trzy drobne obrazki jego. *Dwa krajobrazy karpackie* i *Góral karpacki*. Ten ostatni jest cały opromieniony zachodzącem słońcem, które szeroko oblewa horyzont i doskonałe, świetlane stanowi tło. Nic piękniejszego nad to światło silne w tyle, a twarz ku widzowi zwrócona tem wyraźniejszym oblewa się cieniem. Słowem, światłocień będzie zawsze w dziełach Gersona niepoślednie zajmował miejsce, a jest on niezaprzeczenie zaletą i warunkiem, bez którego obrazu nie pojmujemy.

Spokrewniony z Gersonem umiejętnością oświetlania swych płócien, choć zupełnie innemu, odrębnemu, rodzajowi oddany jest Wł. Malecki. Pejzaże jego, choćby to był nawet szkic od ręki zrobiony, jaśnieją zawsze światłem świeżem, oryginalnem, a jednak prawdziwem. Prawda polega na tem, że i on nie każe słońcu inaczej wschodzić i zachodzić, jak to się dzieje w naturze, a jednak zdobywa oryginalność tego oświetlenia przez co raz to nowe grupowanie przedmiotów. Raz słońce przedziera się z za lasu ku nam, to znowu księżyc wysuwa się z pod horyzontu i płynie jedwabnymi promieniami po murawach, zaroślach, dotykając brzegu lasu. Tym razem światło jest po stronie widza, z boku i wkrada się w cienistą, starą *aleję lipową w porze jesiennej*. Koloryt u Maleckiego harmonijny i w ogóle bogaty, nie posługuje się wielką mięszaniną barw. Ogólny ton szarozielony, jesienny, nie ma już tej świeżej zieleni, tego życia, którem jaśnieje wiosna, lecz za to maluje się w nim wielki spokój, przedzimowa półsenność. Z tym tonem jednostajnym rozpoczyna grę barw liść zielono biały, jakim jesień zapisuje się na starych lipach — i oto dwoma kolorami zdobyty cały efekt. Powietrza, jak u Maleckiego zwykle, pełno, czuje się, że można odetchnąć całą piersią, a to czyni perspektywę jasną, przejrzystą, aż tam, gdzie alea zamyka się gęstwiną. Obraz cienistej, cichej alei, ożywiony jest mnóstwem osób jezdnych i pieszych, używających przechadzki. Wszystkie te figurki mają w kilku pociągnięciach pędzla śmiałość i pewność rysunku, o ile o rysunku tym razem mówić można.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Przy zbliżającym się nowym kwartale, polecamy gorąco naszym czytelnikom „Towarzysza pilnych dzieci“ wychodzącego od lat sześciu pod redakcją p. Władysława Bełzy. Rzeczone pisemko, najtańsze ze wszystkich przeznaczonych dla młodego wieku, redagowane starannie i umiejętnie, nadzwyczaj młodzież zajmuje, a dołączane gratis kilka razy na kwartał ładne, kolorowane, olejne ryciny, sprawiają dzieciom miłą niespodziankę. „Towarzysz,“ doprawdy, w każdym familijnym domu znajdować się powinien.

*** Dr. Malcz ogłosił drukiem czytaną na zjeździe w Krakowie rozprawę swoją: „O stosowaniu i działaniu środków przeciwgnilnych (antyseptycznych) drogą wziewań w zboczeniach dróg oddechowych.“

*** Ziomek nasz Komorowski wydał w Królewcu monografję p. t.: »*Sicord, Bischof v. Cremenn*«.

Krytyka wyraża się o niej pochlebnie.

*** Jeden z naszych najpoważniejszych pisarzy przygotował przekład lirycznych wierszy Shelley'a.

Poeta rzeczony dotąd u nas jest nieznany.

*** Dochodzi nas wieść, iż zasłużony illustrator Andriolli wybiera się w nową podróż artystyczną w Lubelskie i do Galicji.

Głównym celem jego podróży jest zebranie rysunków majętności do zapisu Kickiego należących, Orłowa w Lubelskiem i Rzyczek w Galicji, oddanych jak wiadomo, w posiadanie Towarzystwa osad rolnych dla wprowadzenia w nich różnych instytucyj dobroczynnych.

*** Z gazet bawarskich dowiadujemy się, iż w liczbie odznaczonych zaszczytnie uczniów akademji sztuk pięknych w Monachjum znajdują się trzej Polacy.

Nazwiska ich: Franciszek Ejsmond, Aksentowicz i Stanisław Lentz.

Dwaj pierwsi otrzymali medale bronzowe, ostatni list pochwalny.

Pp. Ejsmond i Lentz pochodzą z Warszawy, Aksentowicz ze Lwowa.

*** *Svetozor* pomieszcza obszerny życiorys Mickiewicza pióra Krasnohorskiej, załączając wspaniały wizerunek wielkiego poety.

W tymże numerze znajduje się rycina ołówka Andriollego, przedstawiająca Mickiewicza i Odyńca na Wezuwiuszu...

*** Ceny autografów firmy Ottona Szulza w Lipsku:

Podpis Marcina Lutra kosztuje 600 marek, Göthego 250, za to Poniatowskiego 100, Kościuszki tylko 60...

Społeczne i ekonomiczne.

*** Telefon Machajskiego coraz bardziej chwalonym jest w Paryżu...

Mamy przed sobą numer *Monde'a*, rokującego wynalazkowi naszego rodaka szerokie zastosowanie.

Prawdą jest, iż pewna firma paryska ofiarowuje 250,000 fr, za odstąpienie jej patentu na ów telefon w obrębie rzeczypospolitej francuskiej.

*** W tych dniach przybył do Plymouth z Australji parowiec pocztowy „Cuzco“ i przywiózł na pokładzie 4000 zabitych owiec i 100 takichże wołów. Mięso to zabezpieczono od zepsucia nowym sposobem zamrożenia. Próba udała się pomyślnie i na przyszłość kilka parowców użytych zostanie wyłącznie do przewozu bitego bydła.

*** Dziennikarstwo niemieckie.

W Niemczech istnieje obecnie 4,413 dzienników, z których 98 są daty starszej niżeli bieżący wiek.

I tak powstanie Gazety Frankfurckiej sięga 261 lat, Gazety Magdeburskiej — 253 lat, Gazety Lipskiej — 221 lat, Gazety Jeńskiej — 207 lat, Gazety Augsburgskiej — 195 lat, Gazety Gotajskiej — 190 lat, Gazety Vossa — 159 lat, a Gazety Kolońskiej — 84 lat.

*** Drobne pismo. Niemiec pewien na karcie pocztowej napisał liczbę wyrazów nie do uwierzenia, bo zdaje się 25.000, według metody stenograficznej w Niemczech używanej. Autor metody dowodził na tej zasadzie wyższości jej przed wszystkiemi innemi będącemi w użyciu. Otóż uczniowie Pitmana w Anglji wystąpili przeciwko tej pretensji i ofiarowali nagrodę za największą ilość wyrazów napisanych metodą Pitmana na angielskiej karcie pocztowej a czytelnych gołem okiem. Karta zwycięzcy p. G. H. Dawidsona, miała zawierać 32.363 wyrazów. Samo się przez się rozumie, że ani jeden z nich nie był napisany całkowicie, ale wyrażony tylko za pomocą odpowiednich skróceń.

*** Komunikacja powietrzna między Ameryką i Europą nie może wyjść z głowy śmiałym amerykańskim pomysłowcom.

W Nowym Jorku obficie sypią się składki w celu dostarczenia aeronaucie z Filadelfji, p. Samuelowi King, środków zbudowania balonu, przeznaczonego do ostatecznej próby, czy ta podróż po nad oceanem jest możliwą.

Balon ten obejmować będzie 100,000 stóp sześciennych gazu, a główną zaletą jego będzie nieprzesiąkliwość, doprowadzona do najwyższego możliwego stopnia, bo dotychczas ubywanie gazu a wciskanie się powietrza, będące skutkiem dziurkowatości używanych dotąd w budowie balonów materyj, jest prawie jedyną przeszkodą dla przeprawy wymagającej koniecznie kilku dni pozostawania w pewnej wysokości w powietrzu.

P. King sądzi, że przez użycie bardzo gęstej tkaniny jedwabnej, starannie pokrytej z dwóch stron roztworem kauczuku, otrzyma balon, jeżeli nie zupełnie nieprzesiąkliwy, to przynajmniej zdolny utrzymać przez pięć do sześciu dni potrzebną ilość gazu wodorodnego.

Zanim się puści przez Atlantyk, zamierza kilkakrotnie na próbę odbyć wycieczki nad lądem Ameryki, w kierunku z zachodu na wschód.

Próby te rozpoczną się już wkrótce i bardzo być może, iż kwestja, jeżeli nie kierowania balonem, to przynajmniej korzystania ze znanych stałych kierunków wiatru zostanie rozwiązaną i podróże powietrzne w oznaczonym kierunku staną się możliwemi...

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.